



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 11-ej z rana do 1-ej po południu i od 4-tej po południu do 6-tej z wieczora.

Nr. 33.

Warszawa, d. 13 Sierpnia (31 lipca) 1904 r.

Rok III.

ŻYRARDÓW.

(Dokończenie.)

Jadącemu koleją, od strony Warszawy, gdy minie las, na parę wiorst przed Rudą Guzowską, odsłania się widok Żyrardowa z górującymi ponad całą osadą wspaniałymi wieżycami nowego kościoła katolickiego. Najpiękniejsze to dzieło budownictwa w tej osadzie.

Z radością, dumą i uwielbieniem biegnie wzrok robotników ku przybytkowi Pańskiemu, a żywa ich wdzięczność przypada w udziale tym, którzy przyczynili się do wzniesienia świątyni monumentalnej.

Dawny kościół katolicki, przerobiony z przeznaczonego pierwotnie dla ewangelików, w miarę rozrastania się osady i zwiększania ludności, coraz mniej odpowiadał potrzebom dużej parafji.

Gdy—przed 7-mi laty — ks. Władysław Żaboklicki objął rządy

parafji, energia jego i zabiegliwość pchnęły sprawę budowy nowego kościoła naprzód.

Umożliwiły dzieło sute ofiary: Feliksa hr. Sobańskiego, właściciela Rudy Guzowskiej, który ofiarował plac pod budowę świątyni, i Karola Dittricha, b. prezesa zakładów fabrycznych, który dał na cel zbożny 62,000 rb. od siebie, 20,000 rb. w imieniu rodziny i 9,000 rb. na organy; reszty dopełniły datki obywateli i robotników. Plan świątyni sporządził znany budowniczy warszawski, Dziekoński, któremu kraj nasz zawdzięcza pobudowanie szeregu świątyń wspaniałych, w pięknym stylu, z uwzględnieniem polotów twórczości rodzimej.



Kościół w Żyrardowie.

W majestatycznie wysokiej, olbrzymiej świątyni, mogącej pomieścić 4,000 wiernych, brak urządze-

nia wewnętrznego; pozyskanie środków na budowę ołtarzy i upiększenie wnętrza stanowi nieustanną troskę ks. Żaboklickiego.

Wpływ nauk kapłańskich na moralność ludu wyraża się w zmniejszeniu się pijaństwa i ustaniu nożowictwa. Kradzieże—s to sunko wo—dość częste. Według opinii pasterza duchownego—„lud to przeważnie z natury dobry, ofiarny i uczynny..”

Ofiarność p. K. Dittricha na rzecz kościoła wskazuje, że nie zerwał on nici, wiążących go z Żyrardowem. że, będąc głównym akcjonariuszem, poczuwa się nie tylko do obowiązku brania dywidendy, lecz i do świadczenia dobra tym, co na tę dywidendę ciężko pracują.

Przypuszczać więc się godzi, że, gdyby umiano trafić do przekonania p. D., nie poskapiłby on grosza i na inne cele.

Pałacyk w parku Dittricha (zbyt szumnie nazywany zazwyczaj „pałacem”) wraz z tym parkiem stanowi własność zarządu. W pałacyku odbywają się sesje podczas zjazdu głównych akcjonariuszów.

Park, pięknie utrzymany, z cieniastymi altankami, rzuconemi nad wodą, z okazałemi drzewami i kobiercami różnobarwnych kwiatów, stanowi cudną ustron, niestety, rzadko tylko odwiedzaną przez oficjalistów. Przed robotnikami ten Sezam się nie otwiera.—„Po amaliby wszystko, potratowali..” powiadają zwolennicy separatyzmu.

Nie wiem, spróbowałbym choć raz, ostrzegając tłum z góry, że w razie niestosownego zachowywania się, pierwsza wizyta stałaby się i ostatnią.

Czy my przypadkiem nie ogadujemy tych warstw niższych niesłusznie, z góry uprzedzając się do nich?..

Kulturę można zaszcześcić, byleby tylko szczeniacy był sam—naprawdę—kulturalnym.

Miałem sposobność przyglądania się zachowaniu robotników żyrardowskich w jedynej, jak dotychczas, ich resursie,—restauracji przy teatrze. Popijając piwo lub herbatę, gawędzą z sobą bez gwaru i hałasu; przybyli „w pojedynkę” czytają gazetę lub tygodnik. Wieczorami sobotniemi, oraz w niedziele i święta, duża sala zapełnia się tłumem, „orkiestron” gra, na zmianę, z arystonem. Ruch, gwar, odpływ i przypływ, ale nie widać pijanych, ani awanturników.

Zachowanie się publiczności na miejscach tanich (15 kopiejkowych) w teatrze—wzorowe, tylko każdy ustęp komiczny wywołuje wybuchy homerycznego, zdrowego śmiechu. Niech się śmieją, nieraz, częściej może, na placz im się zbierze—nie w teatrze.

Ten teatr, z 350 krzesłami na dole, z miejscem na łożę, z obszerną i wygodną galerją, pobudował własnym kosztem, na swoje ryzyko, ufny w poparcie publiczności polskiej, p. Modrzejewski. Niejedno z miast większych pozazdrościć może żyrardowianom takiego przybytku sztuki: pełen powietrza, z pięknie namalowanemi dekoracjami i kurtyną, z oświetleniem gazowym, wprawia w podziw nawet warszawiaków:

— „No, no. na co się zdobył Żyrardów?”

Nie Żyrardów, lecz jeden obywatel, który, wydawszy na teatr kilkanaście tysięcy rubli, zakładał sobie mieć z niego 5%. Nie ma nawet połowy, jak dowiodła praktyka niemal roczna.

Zmieniały się imprezy, jak w kalejdoskopie: miłośnicy i amatorowie warszawscy; exaktorowie sceny warszawskiej w roli impresarijów; *quasi*-dyrektorowie, wystawiający 5-cio aktowe operetki w 8 osób z dobieieranemi komparsami; imprezy przygodne, pragnące szczeni kulturalnego Przybyszewskiego—nie przełamały objętności żyrardowian: na widowiska (z wyjątkiem amatorskich, czy to z sił miejscowych, czy też warszawskich, na cele społeczne) zgromadza się zaledwie garstka, która nie pokrywa kosztów widowiska.

Wtajemniczeni w stan rzeczy twierdzą, że główną przyczyną niepowodzenia teatru jest—resursa z widowiskami bezpłatnemi dla członków, oraz to, że teatr jest polski, nie zaś niemiecki.

Trudno nie przyznać, że co otrzymujemy darmo, tego nie cenimy za nadto. Przyzwyczajonym do widowisk bezpłatnych, w zupełnie dobrym zespole, nawet niskie ceny miejsc w teatrze wydają się przesadzonemi: wolą poczekać, aż im znów amatorowie darmo zagrają w resursie.

Zdawałoby się, że, nie chcąc wytwarzać konkurencji innym i samym sobie (wtedy, gdy grają w teatrze, za pieniądze), szan. amatorowie resursowi powinni dawać widowiska z drobną opłatą za wejście na jakiś cel społeczny, ale nie darmo.

W każdym razie nie jedyna to przyczyna niepowodzenia teatru, muszą być i inne. O tym, że polskiego teatru nie, lubią Niemcy i niechętnie patrzą na tych, co go protegują—mówią sobie ludzie w Żyrardowie na ucho. Dane statystyczne ostatniej doby stwierdzają, że Niemcy w Żyrardowie stanowią zaledwie 2.79% ludności; nie ilość jednak decyduje tu widać o istocie rzeczy, lecz jakość: muszą to być indywidualna potężne, skoro niechęć ich dla polskiego teatru odbija się na napływie doń robotników, skoro nad brzegiem pol-

skiej Pisi rozlegają się dźwięki pieśni niemieckiego „Gesangvereinu”, skoro mowa niemiecka należy, poniekąd, do dobrego tonu. Oddzielnego studjum wymagałaby odpowiedź na pytanie: „czemu przypisać niemieckość Żyrardowa?” Potrącamy tu o nią mimochodem.

Wobec niepowodzenia teatru, żydzi miejscowi (8.96% ludności) proponują właścicielowi, aby sprzedał im budynek—na synagogę; ten jednak nie przyjmuje tej propozycji, przekładając nad to—wydzierżawienie całej swej posesji, wraz z teatrem, koledze; może ten będzie szczęśliwszy.

Międzyakty w teatrze wypełnia niekiedy gra orkiestry fabrycznej, założonej za czasów p. Dittricha; na instrumenta, utensylja i utrzymanie dyrektora łoży Towarzystwo zakładów.

Orkiestrą kieruje obecnie zdolny muzyk-kapelmistrz, wiedeńczyk, p. Groh (aczkolwiek i bliżej—w Warszawie — znaleźliby się odpowiedni kandydaci).

Na kapelmistrzu tym ciąży też obowiązek uczenia amatorów—śpiewaków kościelnych i dyrygowania nimi podczas śpiewów w świątyni. Orkiestra fabryczna grywa w kościele w niedziele i święta.

Wspomnieliśmy o oświetleniu gazowym w teatrze; otóż fabryka Żyrardów wytwarza gaz z odpadków nafty, swoim kosztem i na swoje potrzeby. Zarząd, dbały o ogólną wygodę, zaprojektował, przed 2-ma laty zaprowadzenie gazu, celem oświetlenia ulic osady, podejmował się urządzić wszystko swoim kosztem, rozkładając na raty, w ciągu lat, zwrot kosztów. Obywatele odrzucili propozycję—nie dziwnego: żyli się już z brakiem światła..

W ostatnich czasach fabryka używa elektryczności, jako motoru do machin i oświetlenia; posiada maszyny dynamo - elektryczne, bodaj jedne z największych w Królestwie.

Nad bezpieczeństwem fabryki i Żyrardowa czuwa doskonale wyewiczoną i oryginalnie umundurowaną fabryczną straż ogniową.

Sprawami gminy kierują p.p. Andrzej Łącki, wójt, i Wincenty Nożyczkowski, pisarz, inteligentny, prawy i zdolny, „spiritus movens”, gdy idzie o dobro gminy.

Dni Żyrardowa, jako osady, podobno są policzone: czynią się gorliwe starania o przemianowanie go na miasto, co mu się oddawna należy, i o przeniesienie tu władz naczelnych powiatu błońskiego z Grodziska.

Rozrost Żyrardowa stwierdzają następujące liczby:

w r. 1867 liczył on z gminą 5,839 mieszkańców, w 1880-ym 7,126, w 1890-ym 19,074; dziś—ma ich—32,988, w tej liczbie: mężczyźni

15,164, kobiety 17,824; polacy stanowią 86.35 ludności, katolicy—70.99.

Ku dobrobytowi mieszkańców dzielnie służy Towarzystwo wzajemnego kredytu, przekształcone przed 3-ma laty z wiskickiej kasy oszczędności.

Przewodniczący w zarządzie, p. Józef Krauze (mł.), zdolnością swą i prawością wyrobił młodej instytucji powszechne uznanie jej i rozkwit.

Sprawozdanie za r. z. wykazuje, że ogólny obrót we wszystkich działach T-wa wyniósł rb. 4,068,352; obrót kasowy 1,995,874, czysty zysk rb. 5,989, dywidenda r. 2,506. Fundusz zapasowy wynosi około 20,000 rb. Objawem bardzo dodatnim jest stały wzrost kapitałów, pomieszczanych na lokację procentową: ze 119,500 rb. kapitały te wzrosły w r. z. do rb. 175,000.

Do wielkiego ogniska przemysłowego ściągają chętnie przedsiębiorcy, fachowcy, kupcy.

Handel w Żyrardowie, z drobnymi wyjątkami, znajduje się, jak zwykle po miasteczkach, w rękach żydowskich.

Aptek ma Żyrardów dwie: fabryczną—pod zarządem p. Walerjana Kowalskiego—i p. Jursza, prowadzoną przez właściciela.

Składy apteczne dwa: 1) p. Juliana Dworzynskiego, urządzony na wzór wielkomiejski, doskonale rozwijający się dzięki sympatji, jaką sobie pozyskał nowonabywca, i 2) p. Ignacego Dalberga.

Z pośród kilku fabryk wód gazowych tylko prowadzona przez p. Jursza odpowiada wymaganiom higieny; inne miewają nieustanne zatargi z władzą lekarską i policyjną na tle... nazbyt obfitego posługiwania się sacharyną i rozlicznymi falsyfikatami.

Restauracje, godne tego miana: resursowa, w której, dzięki niezwykle dogodnym warunkom, dzierżawca za smakowite dania pobiera niską opłatę, i wspomniany już zakład jadłodajny przy teatrze—z salami dla uboższej (na dole) i wykwinniejszej publiczności—na górze.

Jest i fotograł, uwieczniający na pocztówkach wszystko, co piękniejszego ma Żyrardów w pobliżu fabryki i kościoła, w pobliżu pięknych domów z cegły palonej, na tle parku i ogródków, nie tykając brudnych i niechludnych zaułków Rudy. Dworzec kolejowy na pocztówce, z różnokolorowemi dachami, przedstawia się dość schludnie; widoczek nie daje pojęcia o tych stosach śmieci i błota, w których, jesienią słotną, można zgubić nie tylko kalosze lecz i kamasze...

Zapytywany przez warszawian niejednokrotnie jako stały gość Żyrardowa, co za no-

we przedsiębiorstwo mogłoby tam liczyć na powodzenie?—odpowiadam tu:

Mała drukarnia!

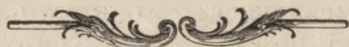
Za granicą ognisko takie, jak Żyrardów, miałyby niechybnie, prócz drukarni, własne pisemko. Myślę o piśmie polskim, naturalnie. Miałyby ono o czym pisać, byłoby bardzo ciekawe: nietylko opis sposobów fabrykacji, ale

i stosunki wewnętrzne dalyby bogaty materiał... chciwie czytany nie przez samych żyrardowian.

A' może Żyrardów i tego się doczeka — wraz z odniemczeniem osady...

Życzę mu tego z całej duszy!

Karol Hoffman.



PIOTR LOTI.

I N D J E.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

W naszych tedy czasach, kiedy wszystko upływa, są tu jeszcze w Indjach książęta, którzy budują pałac w stylu ściśle indyjskim, jak to sobie za czasów świetności umyślili ich przodkowie.

Nowy ten pałac wyniesiono bardzo wysoko, na dziedzińcu okrągłym, który przyłaskiem spuszcza się ku jezioru. Rząd sal białych, białych pawilonów, a wszystko w wieńcach, w festonach głazu lub z marmuru, tak przytym projektowanych, żeby mieć różne widoki na to jezioro królewskie, dokąd się schodzi po wspaniałych stopniach, obrzeżonych słoniami kamieniami,—na to jezioro, którego wody okalają góry wysokie i dzikie, lasami poszyte. Wewnątrz—wzdłuż wszystkich ścian—mozajki ze szkła i porcelany; w jednych salach—gałęzie różane, a każdy z kwiatów—z dwudziestu różnych kawałków porcelany; w drugich—rośliny wodne, nenufary i ptaki: czaple i zimorodki. Układający cierpliwie mozajkę — tuż obecnie; tną na tysiączne drobinki małe kawałki kolorowe, lub, przykucnięci, układają na posadzce płatki i listowie. Jedna sala, właśnie na ukończeniu: na ścianach mozajkowych, koloru mchu, same wielkie lotusy różowe; rysunek ich, bardzo staroświecki, przypomina to, co dziś zwiemy *nową sztuką*, pośrodku łoże kryształowe z firankami atlasowemi tegoż koloru zielonego, co ściany, z materacami aksamitnemi tegoż koloru różowego, co lotusy.

U stóp starej świątyni bramińskiej, całkiem rozpadającej się pod drzewami, blizkiej stoczenia się w głębie wód, siadam do oczekującej na mnie barki; wioślarze wiozą mnie ku wyspom. Powstaje silny wiatr, zwykły tu wiatr wieczorny, na całą krainę Radżpucką roznoszą-

cy pył i śmierć, który tu jednak na jeziorze jest świeży i czysty, zaledwie zmarszczki błękitne dokola nas tworzący.

Zrazu przybijamy do mniejszej z dwu wysp, gdzie pałac niema więcej nad sto lat. Jakże tu wszystko obmurowane, odosobnione, nawet tu, pośrodku tych wód głębokich, które same przez się dostatecznie od świata odcięte! Małe ogrody, całkiem zamknięte pomiędzy ścianami z mozajki, dziś zupełnie zagarnięte przez roślinność cmentarną; zarośla cierni i traw dzikich rozłożystych, malwy różowe, wszędy kwitnące kępami olbrzymiemi. Dalej labirynt małych pokoi dziwacznych, niskich i ciemnych, ozdobionych mozajką i malowidłami, które już się zacierają; pokoje te obmyślono do użytkowania we wszystkich kierunkach, aby mieć o każdej porze dnia cień i ochłodę, by mózż następnie, gdy się zechce, marzyć to wobec równi smętnej bez widoku, to wobec wielkich rozlogów dzikich, wobec lasów, przez tygrysy zamieszkałych, lub wreszcie wobec białego pałacu czarodziejskiego, który znajduje się na pobliskim brzegu. Ileż przez te małe pokoje na wyspach przesunęło się tragedji, ile konań powolnych! Któż to opowie? Dziś, zapuszczone, niszczeją zwolna od wilgoci, zgnilizny i osadów wodnych. W niszach ściennych, w mroku grobowym, stoją drobiazgi, pochowane pod szkłem; cacka, sprowadzone z Europy, które musiały tu być cenne sto lat temu: starożytna porcelana, figurki saskie w ubiorach Ludwika XVI, kwiaty sztuczne w małych wazonach z epoki Cesarstwa... Jakie królowe, jakie zmarłe księżniczki otrzymały te prezenty delikatne, zamknęły je tak starannie i, odchodząc, tutaj zostawiły?...

Na wielkiej wyspie, do której dobiliśmy, pałace, pobudowane przez władzę znamienitego liczą mniej więcej trzy wieki; są przestronne, budowane z większym nakładem, ale też bardziej dziś już nadwątlone. Potężne wschody do przystani, ze stopniami białymi, do połowy zanurzonymi w wodzie, ozdobione olbrzymimi słoniami kamiennymi, które w rząd się zebrały na brzegu jeziora, jakby patrząc na barki przypluwające. Smętne ogrody zamknięte tu, jak na wysepce sąsiedniej, lecz pomiędzy ścianami jeszcze bardziej opracowanymi, pomiędzy mozaikami najstaranniejszemi; znajduje się tu gaik palmowy z wielkimi palmami południa, które nie rosną w stanie dzikim, lecz są drzewami zbyt kownymi wkrąg siedzib książęcych; powietrze tu wyjątkowo wonne z powodu gaików pomarańczowych, które jak szronem zaścielają liście martwe i ziemię. Późno już było, gdyśmy tu się dostali; słońce zaszło daleko za te góry olbrzymie i strome, spuszczone na jezioro mrok przedwczesny. Jest to pora, gdy papugi układają się do snu; wybrały sobie siedzibę na gałęziach drzew pomarańczowych, tak zazdrośnie ukrytych; przybywają z lasów czarownicami gromadkami, małymi chmurkami zielonemi—jeszcze bardziej zielonemi, niż liście mdlejące, tu bowiem, nawet na brzegu jeziora, wszystko żółknąć poczyna, nie mówiąc już o barwie zimowej lasów okolicznych. A wiatr suszy i głodu wciąż silniej nawiewa, zwiększając niepokój smętny wieczora—tu na tych wyspach, w ruinach...

IX.

Piękny gród różaności.

Sto mil dalej ku północy. Od Odeypuru pustynia ciągnęła się za pustynią. Ziemia zdawała się być przeklętą. Pod warstwą popiołu białawego, który zasłał ziemię jakby po jakimś wybuchu wulkanicznym, wszystko, co było dzungłą, wioską lub uprawą, złączyło się w jedno—w jeden ton żaloszny. I oto tu nareszcie, po tyłu postojach rozpaczliwych, miasto czarowne, w pełni ruchu wschodniego. Ulice, dobiegające do wielkich murów zębatach, do bram lukowych, pełne szlachty dorodnej w szatach białych, ko-

biet w długich zawojach żółtych i czerwonych, wozów, ciągniętych przez byki, sznurów wielbłądów w uprzęży świątecznej; barwa i życie, jak za czasów, gdy w bród wszystkiego.

Co jednak znaczą te kupy łachmanów odrażających, tam, u stóp tych murów warownych? Kształty ludzkie ukryte pod niemi... Cóż to za ludzie tam leżą pokotem? Pijani, czy chorzy?—Ah! to same skielety, mumje, to same kości ludzkie! Jednak nie! to się rusza jeszcze; powieki drgają i oczy patrzą! A oto niektórzy nawet unoszą się, chwając na długich kościach, które mają być ich nogami!...

Po przebyciu pierwszej bramy ukazuje się druga, wycięta w murze wewnętrznym, różowo malowanym aż do linii zębatej, koloru wstążki różowej, z rzutami kwiatów białych, podług wzorów ściśle indyjskich. I tu, na warstwie kurzu, również stosy ludzi, czarniawe, jakby w pyłe wytarzane, jeszcze okropniejsze wobec tej czarownej różaności i tych kwiatów na murze. Rzekłbyś, że to skielety, pyłem oblepione; kości i żebra występują z dokładnością przerażającą; stawy i zgięcia tworzą wielkie kule, niby sęki na kiju, a uda, które są z jednej kości, cieńsze, niż golenie, które z dwóch się składają. Są tu całe rodziny, są też samotni i opuszczeni; jedni konają, na krzyż rozciągnięci, inni siedzą jeszcze w kukki, nieruchomi, obłąkani, z oczyma rozgorączkowanymi, z wargami odchylonemi na długich zębiskach. W kącie stara kobieta bez ciała, samotna nejwidoczniej, płacze cichutko, na zgnitym barłogu.

Gdy wreszcie, po wyjściu z tych bram podwójnych, ukazuje się wnętrze miasta przed nami, urok i czarodziejstwo ogarnia niespodzianie.

Cóż za kaprys tu władcy—mieć całe miasto różanem, całkowicie różanem, tą samą barwą różaną, z temi samymi wiązkami kwiatów białych, całe miasto: domy, mury, pałace, bramy, wieże, świątynie! Rzekłbyś, że wszystkie mury obciągnięto tu wzorzystym muślinem staro-indyjskim, lub, że miasto całe wyrznięto ze starego kamienia różanego, z którego robią kamiee; tak różne to od wszystkiego, co się dotychczas widziało, tak pełne uroków piękna zupełnego, czaru—nie do wypowiedzenia!

(C. d. n.)



JOZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Strzelanina ta zepsuła mi polowanie na drogie. Udało mi się, kołując, podjechać do nich na kroków 150. Złożyłem się dobrze z za konia, wystrzeliłem, będąc pewny dobrego skutku—tymczasem ptaki odleciały najspokojniej. Okazało się, że zapomniałem opuścić wizjer przy sztucerze, ustawiony na 600 kroków i, naturalnie, zgórowałem. Innym razem spłoszył mi dropie, do których podpełzałem pod osłoną pagórka, orzeł. Zemściłem się krwawo, kładąc drapieźnika trupem kulą z Winchesteru. Był to ładny okaz *Aquila nobilis*, których obok *A. amurensis* jest tu mnóstwo.

Tego rodzaju niepowodzenia były dla nas tym bardziej przykre, że, jadąc całym taborem i wedle określonej marszruty, mogliśmy z polowania korzystać tylko dorywczo, dbając zawsze, aby pochodu nie zatrzymywać i być w możności dopędzić podążający ciągle wóz i eskortę.

W drugą noc, spędzoną na stepie, zaskoczył nas pierwszy przymrozek. Nad ranem trawa, nasze troki, wojskok, który nas przykrywał, pokryte były białą szadzią, a przy każdym ruchu głowy zmiataliśmy z poduszek śnieg. Ubieranie się w tych warunkach było swego rodzaju bohaterstwem, to też tłomacz nasz, Dżan, postanowił ogrzać się chanszynem i wypił na czczo kilka kieliszków gorącego trunku. Mieliśmy sposobność sprawdzić działanie chanszynu. Już w kwadrans biedny Dżan był zupełnie zdębiały i stan ten przygnębienia, brak apetytu, apatia, trwały dzień cały. Siedział biedak na wozie, owinięty w kołdrę, z ręcznikiem na szyi, nastroszony jak chory ptak. Godną uwagi jest przytym okoliczność, że szklanka czystej wody, wypita nazajutrz po nadużyciu chanszynu wywołuje wszystkie objawy ponownego upicia się.

Na popas południowy zatrzymaliśmy się koło stożkowatego kopca, na którym, wedle słów przewodnika-burjata, miał stać ongi namiot wielkiego Czyngis-chana, panując nad obozem, rozłożonym na równinie. Istotnie, kopiec bardzo prawidłowej, stożkowej, formy, ze świątym wierzchołkiem, czynił wrażenie góry sypanej, a podanie to nie stoi w sprzeczności z historją, gdyż stąd rzeczywiście wy-

ruszył Czyngis-chan na podbój świata, a koło stacji Dałaj-nor istnieją dotychczas ślady wału, zwanego wałem Czyngis-chana.

Urok historyczny miejscowości musiał nam zastąpić tym razem rzecz bardziej realną, mianowicie różnaitość posiłku. W Gańdzurze nie sposób było nabyć ani chleba, ani cukru, ani konserw. Baraninę przeto z ryżem zapijaliśmy herbatą bez cukru, a na wety mieliśmy owe ciastka, otrzymane od lamów, na oleju, o smaku więcej niż mdłym. Po obiedzie udałem się na pobliskie jeziorko słone, gdzie wzięłem parę stepowych kaczek-norówek (*Anas tadorna*), odznaczających się tym, że gniazda tworzą w norach, wykopanych nieraz daleko od brzegu. Tam też widziałem kilka gęsi chińskich (*Anser cygnoides*), typ pośredni pomiędzy gęsią a łabędziem, z czarną narosłą na dziobie i ciemną pręgą wzdłuż szyi i grzbietu, które jednak na strzał nie dopuściły.

W dalszej drodze minęliśmy jakąś opuszczoną świątynię, zrujnowaną, według słów przewodnika, podczas ostatniej wojny z Chinami; poczym wstąpiliśmy w piaski, które zdaniem tegoż przewodnika, znamionowały bliskość Caganu. Jechaliśmy jednak z godzinę, noc nastąpiła zupełna, a Caganu ani widać. Perspektywa spędzenia jeszcze jednej nocy na mrozie niebardzo nam się uśmiechała, to też postanowiliśmy jechać dalej. Przeszła jeszcze godzina, podczas której traciliśmy kilkakrotnie ślad drogi, nakoniec, po upływie trzeciej godziny, wysłany naprzód na zwiady Ł. przyniósł radosną wiadomość, że widać ognie stacji. Istotnie, wkrótce z wysokiego wzgórza piaszczystego ujrzeliśmy w dole zielone światło sematoru i kilka latarń. Po upływie kwadransu zeskakiwaliśmy już z koni przed rzęsiście oświetloną stacją, a niebawem dobijaliśmy się do naszego wagonu, który oczekiwał nas tutaj. Zaspiany, ale uradowany z przyjazdu naszego, Iwan krzątał się wkrótce koło samowaru, a myśmy myli się, zmieniali bieliznę i przeistaczali znowu w europejczyków — po tygodniowym życiu nomadów.

Z prawdziwą rozkoszą wyciągnęliśmy się na kanapach wagonowych, pokrytych czystą

pachnącą bielizną i popijaliśmy aromatyczną herbatę, wspominając mimo to z przyjemnością przebyte niewygody noclegów pod gołym niebem i ów odwar z łojem, którym nas częstował dzan-gin. Siedmiodniowe przebywanie na słońcu i wietrze stepowym nie przeszło zresztą bezkarnie, bo wszyscy bez wyjątku mieliśmy skórę popękaną na twarzy i rękę i w ciągu kilku dni następnych zmienialiśmy ją jak węże.



Żony rosyjskich żołnierzy, idące na spotkanie mężów i niosące im broń i amunicję.

Tegoż jeszcze wieczora pożegnaliśmy się z eskortą i przewodnikiem, a nazajutrz zrana obudziliśmy się już na st. Mandżurja, dokąd poleciłem wagon nasz przetransportować z pierwszym idącym w tę stronę pociągiem.

III.

W poprzek Mandżurji.

Od st. Mandżurja rozpoczęliśmy systematyczne badanie części kraju, bezpośrednio przytykającego do kolei. W tym celu zatrzymywaliśmy się na wszystkich bez wyjątku stacjach, zbieraliśmy potrzebne dane zarówno od administracji kolejowej, jak i od władz chińskich, oraz osób prywatnych, zwiedzaliśmy znajdujące się w pobliżu zakłady handlowe lub przemysłowe, robiliśmy wycieczki do bardziej zaludnionych miejscowości itd. W taki sposób zwiedziliśmy kopalnię węgla w Dałaj-norze, płótki wełny na Arguni, rzeźnię w Chajłarze, dużą gorzelnię w Fulardi, obznajomiliśmy się z rybołówstwem na jez. Dałaj-nor, produkcją siana prasowanego, tamże, warzywnictwem w Dżałantunie, wyrobem cegieł w Buchedu, białoskórnictwem w Jakeszi itd.

Cały ten przemysł stworzony został przez poddanych rosyjskich od bardzo niedawna, pod wpływem potrzeb coraz to wzrastającej ludności napływowej. Co do ludności miejscowej bowiem, to w północnej części linii Mandżurja-Charbin składa się ona z koczowników-mon-

golów, którzy zajmują się wyłącznie hodowlą bydła, koni i owiec, a w pozostałej części ludność jest bardzo nieliczna i osady większe spotykają się tylko koło miast, jak Chajłar i Cocykar, oraz już w pobliżu Charbina, gdzie zaczynają się pola uprawne. Tam, gdzie się to daje, tubylcy — mandżurowie zajmują się rolnictwem, poza tym zaś prowadzą handel bydłem, wełną i innymi towarami, wreszcie pracują przy kolei. Przy budowie kolei zajęta jest nadto ogromna ilość chińczyków, przybawających corocznie na roboty z Chin.

Materiał faktyczny surowy, zebrany tą drogą, należało następnie usystematyzować, obrobić, to też codzień wieczorami wagon nasz zamieniał się na biuro, w którym skrzyślały pióra. Zmudną tę pracę urozmaicaliśmy czasami polowaniami, na brak zaś zwierzyny uskarżać się nie można było. W dolinie rzeki Jalu mieliśmy w bród bażantów, kuropatw i małych, miejscowych zajęcy (*Lepus manshuricus*), pod Charbinem zaś ścierniska zbożowe formalnie usiane były stadami gęsi, kaczek i łabędzi, odpoczywających tu w przelocie na południe przed zbliżającą się zimą.

Nieco większą wyprawę w głąb kraju odbyliśmy, udając się do Cocykaru. W piękne wrześnieowe popołudnie wyjeżdżaliśmy konno, z eskortą 4 kozaków, ze st. Cocykar, odległej od miasta o 30 wiorst. Okolica przedstawiała równą płaszczyznę, ale bez owego specyficznego uroku stepu, jaki daje zupełny brak ludności. Tu, przeciwnie, dzięki traktowi, łączącemu miasto ze stacją, spotykało się często przechodniów i arby chińskie z ładunkami lub pasażerami, a trakt poźłobiony był głębokimi kolejkami.

Minęliśmy jeziorko, koło którego nieomieszkaliśmy dać parę strzałów do łabędzia, zresztą bez szkody dla niego, i wjechaliśmy do dużej wsi mandżurskiej. Na wstępie, koło traktu, stał zajazd dla przejezdnych. Odznaczały go deseczki z napisami chińskimi i buńczuki z różnokolorowych wstążek. Zatrzymaliśmy się, aby się napić herbaty, gdyż pył był straszliwy. Przyniesiono nam w filiżankach mętny, gorący płyn, który wypiliśmy, nie schodząc z koni, poczym wjechaliśmy w ulicę wsi.

Ulicę tę tworzy szereg ścian glinianych, które otoczone jest wokół każde domostwo. Przez wrota w tych ścianach widać spory zazwyczaj dziedziniec, w którego głębi znajduje się dom mieszkalny — lepianka z gliny o dużych oknach, z papierowymi szybami i z kominem, stojącym osobno — a po bokach zabudowania gospodarze. Na dziedzińcu leżały o tej porze stopy kapusty lub też prosa, roz-

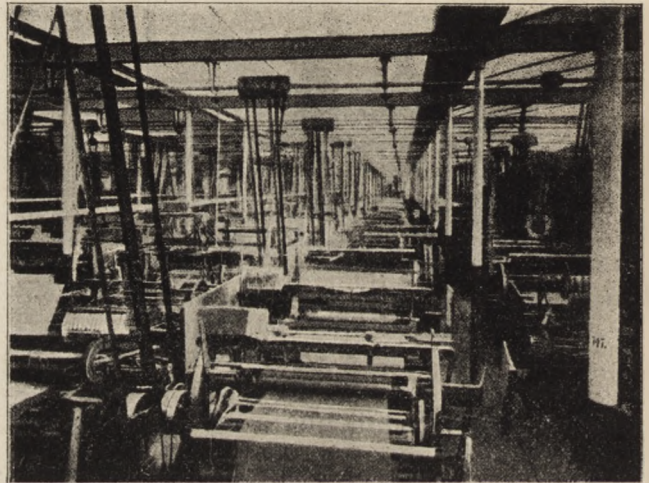
łożonego grubą warstwą wokoło słupa, do którego przywiązany osiołek ciągnął walec kamienny i młócił w ten sposób ziarno. Czarne świnie wylegiwały się w kałużach.

W pośrodku wsi kilka domów wyróżniało się swoją budową. Wysoki mur ułożony był z cegieł i posiadał na rogach wieżyczki ze strzelnicami. Potężne, okute wrota zam-

Do artykułu p. t.: „ŻYRARDÓW”.



Ochrona w Żyrardowie.



Warszlaty tkackie w Żyrardowie.



Gmach szkolny w Żyrardowie.



Bielnik w Żyrardowie.

kały wejście na dziedziniec, wszystkie zabudowania gospodarcze były również murowane, a wśród nich stała mała, domowa świątynia z wysokimi słupami. Jest to rezydencja miejscowego bogacza i właściciela lombardu, udzielającego pożyczek na zastaw zboża i ruchomości. Forteczny charakter rezydencji ma na celu obronę przed napaścią chunchuzów, próbują-

cych czasami, czy się im nie uda dokonać podziału zysków.

Na tętent naszych koni z wrot niektórych obejść powychodzili mieszkańcy. Mężczyźni noszą szare kapoty, podciągnięte paskiem i także spodnie watowane, na głowie okrągłą czapkę z podwiniętymi uszami, podbitymi futrem, a na nogach pantofle wołtokowe. Ko-

biety-mandżurki, starsze, noszą także szare lub ciemne kapoty, tylko dłuższe, z szerokimi rękawami; za to młode wolą kolory żywsze: niebieski, zielony, noszą jedwabne „kurmy”—kaftany krótsze, mają spódnice, i ozdabiają skomplikowane uczesanie głowy srebrnymi blachami, szpilkami i kwiatami sztucznymi.

Bezpośrednio do zabudowań przylegają ogrody warzywne, często również otoczone ścianą z gliny, oraz pola, doskonale uprawne, zasiane prosem rozmaitych gatunków, które o tej porze było już żęte. Ściernisko wydawało, że stosowany jest tu wyłącznie siew rzędowy, ideał, do którego nasi rolnicy dopiero dążą. Tą staranną uprawą tłumaczy się też możliwość w ogóle rolnictwa w tej miejscowości, gdyż gatunek gleby sprzyja mu bardzo mało.

Po wyjechaniu ze wsi zauważyliśmy w pobliżu drogi niewysokie kopce, stojące bądź oddzielnie, bądź grupami. Są to mogiły mandżurskie. Zmarłych składają do olbrzymiej trumny, zbitej z dylów kilkocalowych, często malowanej i ozdobionej napisami; trumnę tę ustawiają wprost na ziemi w polu i zasypują ziemią, tworząc kopiec podłużny. Ponieważ warstwa ziemi nie jest gruba, osypuje się więc ona i z kopca takiego wystają często brzegi trumny. Czasami źle sklecona trumna rozwała się i wówczas wypadają z niej szczątki zmarłego, które psy lub trzoda chlewna rozwłóczy po okolicy. Taki brak poszanowania dla mogił stoi w rażącej sprzeczności ze czią mandżurów dla przodków, oraz przywiązaniem do ziemi rodzinnej, nakazującym grzebanie zmarłych wyłącznie na miejscu uro-



Zajazd chiński w Cicykarze.

dzin, co powoduje uciążliwe nieraz i kosztowne przewożenie zmarłych z dalekich stron.

Minęliśmy następnie jeszcze jedną wieś i późnym wieczorem zbliżyliśmy się do Cicykaru, miasta stołecznego prowincji Chej-lundzian i rezydencji „dzian-dziuna”, czyli gubernatora. Zwiastunem miasta były świątynie, stojące poza obrębem murów, w gaju wiązowym. W ślad za tym zaczynały się przedmieścia, z początku w postaci oddzielnych lepianek, a następnie całego szeregu domów, tworzących ulicę. Zaraz przy wjeździe na przedmieście objął nas gwar wielkiego zbiorowiska ludzi. Gardłowe dźwięki mowy chińskiej, wyrzucane z pośpiechem, właściwym rasie żółtej, przez tysiące głosów, mieszały się

ze skrzypieniem arb, okrzykami „jog! jog!” poganiaczy mułów, odgłosem klekotek i wywoływaniem handlarzy. Dzień się kończył i miasto, przed ułożeniem się do snu, załatwiało rachunki dzienne. Szerokie, papierowe okna licznych traktjerni były oświetlone, a z otwartych drzwi buchał na ulicę gwar głosów i mdły zapach oleju bobowego, tego specyficznego aromatu mieszkań chińskich.

Przedmieście kończy się u stóp wysokiego wału z gliny, otaczającego miasto właściwe.

Przez murowaną, piętrową bramę, z wygiętym dachem, wjeżdżamy w główną ulicę miasta. Ulica, niebrukowana, oświetlona jest kliku latarniami olejnymi, ustawionymi na zbiegu ulic. Przechodniów jest dość dużo, a

sklepy już pozamykane. Stosownie do wskazówek, otrzymanych na stacji, mamy się zatrzymać w zajeździe Szentina, chińczyka, utrzymującego stosunki handlowe z rosjanami i zwanego przez nich „Aleksandr Iwanowicz”. Zabawną jest gradacja, którą kupcy rosyjscy stosują przy nadawaniu podobnych imion

chińczykom, władającym językiem rosyjskim: subjekt-chińczyk zowie się u nich „Wania”, handlarz samodzielny otrzymuje już nazwę „Iwan Iwanowicz”, kupiec średniej ręki „Wasilij Iwanowicz”, wreszcie kupiec hurtowy „Aleksandr Iwanowicz”.

(C. d. n.)



LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Ciąg dalszy.)

Dom, w którym ulokowałem się, literalnie natłoczony ludźmi. Zbita, czarna fala otacza mię kołem, ścisnęłaby jeszcze więcej, gdyby nie przegroda z kuferków. Przypatrujemy się sobie wzajemnie, badamy i bawimy się doskonale, śmiejąc jedni z drugich, tylko, że ja staram się zachować pewną powagę, a oni się nie krępują. Co chwila cała galerja wybucha homerycznym śmiechem, wszystko im się dziwnem wydaje: kolor skóry, ubranie, jedzenie, mowa. I tak: oni chodzą prawie nago, dziwi więc ich ubranie europejskie, jako rzecz zbyteczna. Zdejmuję np. surdut zwierzechni, ogólny krzyk, który się potęguje jeszcze w porze chłodnej, gdy mam dwa ubrania na sobie; zdaje im się wtedy, iż owych surdutów mam bez końca, to też bezustanne prośby: „Zdejm jeszcze jeden, zdejm”. To samo z jedzeniem: sami jedzą palcami, nóż więc, łyżka, widelec — to nowość śmieszna, puszka konserw—to „niama-mukara” — mięso białych, którego murzyn jeść nie może, zachorowałby bowiem.

Herbata, ponieważ kolorem zbliżona do wódki, więc jest podług nich „belandi-mukara”. Te i t. p. zdania krzyżują się naokoło nas, gwar, krzyk, czysty jarmark, powietrze duszne. Przy noszą jedzenie na olbrzymiej misce drewnianej oraz butlę „mimby”, wina palmowego. Gospodarz, aby przekonać, iż zdrowe, bez trucizny, bierze palcami trochę jedzenia, próbuje, również pije trochę wina i dopiero mnie podaje. Dziękuję, oddzielam część potraw dla siebie, resztę zabiera karawana. W tej chwili, zgnęcone zapachem oleju, zjawiają się psy miejscowe. Mówiłem już o nich, jaka to wstrętna

rasa: wiecznie głodne, kradną jedzenie z miski, ręki, trudno się opędzić natrętom. Uderzony kijem, odejdzie, aby powrócić z drugiej strony. Rzucam im kości, widząc to, król podchodzi, prosząc, aby nie marnować w ten sposób złe ogryzionych, lecz rzucać je jego dzieciom. Czy nie zadość prośbie i następuje walka dzieci z psami.

Jedzenie skończone; na pozostawione na ziemi miski rzuca się całe stado psów i wylizuje językami doskonale. Murzynka podchodzi, widzi, iż miski „wyczyszczone”, myć ich nie potrzeba,—najspokojniej więc stawia na półkach a ja, patrząc na wszystko, muszę być przygotowanym, iż nazajutrz z tych samych naczyń jeść będziemy. Już to zamiłowanie porządku nie jest wrodzonym u murzyna i nie raz dziwili się oni moim wymaganiom, nie rozumiejąc ich.

Zbliżył się wreszcie zachód słońca, zmrok ogarnia szybko lasy, dom każdy napelnia się nowymi gośćmi, t. j. inwentarzem najrozmaitszym. A więc kozy, owce, trzoda, kury. Zaczyna się bek, kwik, cała gromada staje na środku chaty, zdziwiona naszym widokiem, jakieś przerażenie maluje się w oczach zwierząt: i dla nich kolor skóry dziwnym się wydaje. Naokoło domu pod ścianami są ławki z bali—tam to lokują się kozy na spoczynek. I ja go potrzebuję: nazajutrz mam wstać przed wschodem słońca i nabrać nowych sił do dalszej podróży. Gaszę więc światło, w nadziei, iż galerja ciekawych rozejdzie się do swych domów. Próżne złudzenie! Rozpalają silniejsze ognisko, chata napelnia się dymem, na placu przed do-

mem huczy „tam-tam“ a zebrani wewnątrz domu rozpoczynają śpiewy i taniec dokoła mnie. Taniec ten trwa często noc całą. Protestować nie można, gdyż w ten sposób oni chcą mię uczyć, trzeba więc słuchać i tylko w duchu przeklinać ów dziwny sposób okazywania swej radości. Do wszystkiego wreszcie można się przyzwyczaić: później nie mi taniec i krzyki nie przeszkadzały, znużenie brało górę, zasypiałem doskonale. Często też chata jest za małą, ludność liczna, wtedy tańce odbywają się na placu przed domem, co już o wiele jest znośniejsze. Tylko, że w takim razie, gdy chata pusta i w niej ciemno, rozpoczynają się inne przyjemności, przerywające sen. Psy, pochowane po łąkach, wyłażą i rozpoczynają poszukiwania pomiędzy naszymi pakunkami, znęcone zapachem prowizji. Pozbywam się natrętów kijem, przybywają jeszcze wstrętniejsi goście — szczury. Trudno mieć wyobrażenie, jakie ich mnóstwo wszędzie. Są 3 gatunki: jedne olbrzymie, leśne, to prawdopodobnie gatunek miejscowy, afrykański; drugie, mniejsze, musiały być przywiezione przez okręty europejskie i tu się rozmnożyły; nareszcie trzecie—białe—tych bardzo mało. Żaden dom nie jest wolny od tej plagi, kotów bardzo mało i to tylko na wybrzeżach. Szczur afrykański jest tak rozzuchwalony przez to, że murzyni go nie tępią, iż obecność ludzi nie go nie przestrasza; noc to czas jego panowania, robi rewizję całego domu, biega po ludziach śpiących, przegryza płótna, chcąc się dostać do naszych ładunków. Często gryzoniów jest tyle, iż trzeba zamykać buty do kuferków, inaczej byłyby pogryzione. Pamiętam, że bywaliśmy nieraz w rozpaczach, nie wiedząc, gdzie się schronić przed wstrętnymi gośćmi. Co chwila któryś z górnych ścian lub półek skakał nam na głowy. Wybierając z dwojga złego, lepszy już taniec murzynów, niż wizyty szczurów.

Przemęczywszy noc, zasypiam nad ranem budzi jednak wschód słońca: inwentarz z krzykiem dopomina się wypuszczenia na wolność, przez odsłonięte drzwi wpłynęły fale światła; otwieram oczy i spostrzegam całą wczorajszą galerję naokoło, już zebrani w komplecie, przypatrują się ciekawie, w jaki to sposób biały śpi.

Przyprowadzają żywe podarki. Jeżeli król, bogaty, daje wołu, jeżeli uboższy—parę kóz, owiec, kur, wreszcie jarzyn, owoców i wina palmowego. Każemy zaraz zabijać ten inwentarz. Ceremonja zabijania jest dosyć ciekawą. Dopelnia jej zwykle król, a gdy ten starcem, ego syn—następca. Najpierw związane zwierzę przynoszą do naszych nóg, abyśmy mieli możność przekonać się, iż zdrowe. Następnie

przed progiem domu kładą zwierzę na przygotowanym pieńku; król przystępuje do związanej ofiary i ma krótką przemowę: „Wyrosłaś taka duża i nie widziałas białych,—twój ojciec, matka, babka itd. również ich nie widzieli; dostąpiłaś wielkiego dziś zaszczytu, oglądając ich; dłużej żyć nie powinnaś, giń!” I w tej chwili długim, ostrym nożem, za jednym uderzeniem odcina głowę zwierzęciu. Zatrzymuję dla siebie część mięsa, resztę zaś oddaję królowi i mieszkańcom, dołączając do tego kilka garncy wódki. Królowe gotują gościowi posiłek, dla tłumu inne kobiety. Rozpoczynają się tańce, muzyka, śpiew, t. j. improwizacja, wystawiająca moją dobroć, potęgę i t. p.

Po obiedzie znów palawer pożegnalny: doręczam podarki królowi oraz naczelnikom. Podarki dla króla składały się zwykle z dwóch sztuk tkanin bawełnianych, broni, surduta, koszuli flanelowej, kapelusza, cylindra, czapki, drutów mosiężnych i miedzianych, noży, scyzoryka, pierścienia z dużym kamieniem, kilkunastu głów tytoniu w liściach, czasem kuterka blaszanego. W ogóle podarki stosują się do wielkości danego miasta oraz podarków, jakie król ofiarował. Trzeba dać zawsze dubeltową tego wartość. Naczelnicy dostają drobniejsze podarki. Wszyscy, zadowoleni, przeprowadzają nas ze śpiewami aż do granic swego kraju, tu pożegnania i prośby o rychły powrót. W następnym mieście ta sama historja. Po opisie tym łatwo zrozumieć, jak powolnie mogą się odbywać wycieczki w głąb kontynentu i jak są kosztowne.

Pomiędzy górami Kameruńskimi a południowym brzegiem zatoki białoryjskiej otwiera się przed wzrokiem przybysza olbrzymi basen słodkiej wody, jakby zatoka, w pośrodku której stojąc, brzegów nie widzisz dobrze—to ujście rzeki Kameruńskiej.

Do tego ujścia wpadają trzy inne rzeki: Mungo, Lungasi i Qua-Qua.

Potężniejszy od innych kacyków, król Bell, ciekawa to osobistość. Na pozór, nie odróżnia się niczym od innych murzynów. Postawa dobra, twarz pełna, rysy zwykle murzyńskie, tylko wzrok przenikliwy mówi o wrodzonym sprycie. Najchytrzejszy też to człowiek w całej okolicy. Żyjąc przeszło 50 lat z białymi, stał się sam prawie Europejczykiem. Posiada pewne wykształcenie, nawyknięcia białych, dom ma elegancko urządzone, dla wizytujących znajdzie zawsze sute przyjęcie, potrafi poprowadzić rozmowę o wszystkim, czytuje gazety; kuchnia europejska, wina różne, nawet oryginalny szampan, lecz sam król nie nie pije i żyje zupełnie, jak każdy z jego poddanych. Cho-

dzi prawie nago w zwykłej tylko spódniczce z materji lub aksamitu. A to wszystko dlatego, aby, nie wynosząc się pozornie nad innych, nie stracić ogromnego wpływu, jaki posiada nie tylko nad swemi poddanymi ale i nad ludami zamieszkałymi więcej w głębi, które, choć mają swoich niezawisłych kacyków, jednakże boją się Bella i ulegają mu. Tym sposobem Kameruńczycy mają monopol handlu z głębią. Zarówno jak każdy z poprzednich króli i Bell, obejmując władzę, składa uroczystą przysięgę, że będzie dbał o monopol i nie przepuści białego przez swe terytorjum w głąb. Krajowcy, którzy dotychczas mieli stosunki z białymi tylko handlowe—nie mogą zrozumieć i wprost nie wierzą, iż podróżnik przybywa w innych celach. „Nie!—powiadają—ty przybywasz po to, aby nam zepsuć handel, chcesz zawiązać bezpośrednio stosunki z „buszmanami” a nas pominać; na to nie pozwolimy!” Nic nie pomogą wtedy przedstawienia. Niejeden król, kuszony podarkami, miałby ochotę ułatwić podróż, lecz się boi buntu poddanych. Ta to więc nadbrzeżna kasta faktorów-pośredników jest główną zaporą dla cywilizacji i poznania tajemniczego kontynentu.

Rzeka Mungo przedstawia się wspaniale, szczególnie w porze deszczowej. Nawet w znajdującym poprzednio wiele rzek afrykańskich widok jej budzi silne uczucie zachwytu. Wycieczkę, jaką odbyłem po niej do Bakundu wraz z Tomczekiem, uważam za jedną z najprzyjemniejszych i najwięcej urozmaiconych.

Przytaczam tu niektóre wyjątki ze swego dziennika, gdyż malują one charakter rzeki.

W dniu 16 kwietnia wypłynęliśmy ze stacji Mondoleh dużą szalupą, mając 8 wiosłarzy jako załogę. Pomyślny wiatr pozwolił rozwinąć żagle, to też szybko przebyliśmy kilkogodzinną drogę morzem, aż do ujścia rzeki Kameruńskiej. Wobec *creeków*, jakie tworzy to ujście, bez przewodnika obejść się trudno. To też, zaledwie dostaliśmy się w ów labirynt, pokazało się, iż mapa i kompas niewiele pomagają; na los więc szczęścia płyniemy *creekiem* przeciwnym temu, który prowadzi do Kamerunu. Rzeka, na którą dostaliśmy się, wspaniała, szeroka w niektórych miejscach do 300 metrów. Dążymy ciągle w kierunku Mungo, kilka razy jesteśmy niby pewni miejscowości podług mapy i zawsze ta pewność okazuje się mylną. W rezultacie nadchodzi wieczór i niespodziewanie ukazuje się naszym oczom rzeka.. Kameruńska! Pokazało się, iż płynęliśmy nieznanym, pięknym *creekiem*, nieoznaczonym na mapie, poznanie więc go wynagrodziło przedłużoną drogę. Ludzie nasi byli znużeni i zgło-

dniali — od rana bowiem nic nie jedli. Przywiązujemy więc szalupę do nadbrzeżnego drzewa i pozostajemy tu na noc, najpierw dla wypoczynku, a powtóre dlatego, iż niebardzo bezpiecznie zapuszczać się wśród ciemności w *creeki*, ciągle krzyżujące drogę. Bywały wypadki, iż po kilka dni błądziły po nich łodzie, nie mogąc się wydobyć z labiryntu rzek, przypiływów i wysp błotnistych, pokrytych lasami mangrowji, zamieszkałych tylko przez aligatory, ukryte w mule nadbrzeżnym, różne płazy, ptactwo wodne i drapieżne, oraz małe, czarne małpki.

Ponieważ niema tu żadnych drzew owocowych, małpy więc zmuszone są żywić się drobnymi krabami i ślimakami, łowionymi nad brzegiem. Gałęzie mangrowji, zanurzone w wodzie, są pokryte drobnymi, o białych muszelkach ślimakami. Podczas odpływu małpy zbiegają na brzeg, raczą się obfitym pożywieniem, a oprócz tego zabierają całe gałęzie, obciążone muszelkami, w głąb lasu, jako zapas na porę przypływu.

Patrząc na ową manipulację, zazdrościliśmy zwinnym zwierzątkom, gdyż miały one od nas lepszy posiłek. Wylądowanie w *creekach* jest niemożliwym, rozpalenie więc ognia również. Zabraliśmy wprawdzie maszynkę spiryтусową, lecz nie było wody!

(C. d. n.)





ROZMAITOSCI.

Wykopaliska w Lublinie. Przy odkopywaniu rury wodociągowej, na zbiegu ulic: Bernardyńskiej i Panny Marji, natrafiono na kilka pomników dawniejszego Lublina. Przedewszystkim, na głębokości 2-eh łokci pod powierzchnią bruku, odkopano bruk dawny, ułożony przeważnie z siwaka, kładzionego płaskimi taflami, niekiedy większych rozmiarów, pomiędzy którymi niezadki jest kamień polny. Nieco głębiej, pod brukiem, odkryto kanały o ścianach drewnianych, krzyżujące się pomiędzy sobą. W teźże głębokości leżą pogrzebane szczątki ludzkie, obok których znaleziono i szczątki trumny, widocznie bogatszej osoby, bo daje się odróżnić obicie z aksamitu i gwoździe o główkach złożonych. Szczątki trumny przejdą do zbiorów archeologicznych miasta, gdy te staną się faktem.

„Gaz. lub.”

Plony wycieczki. Marjan Wawrzyniecki i Szczęsny Jastrzębowski ukończyli swoje badania archeologiczne na porzeczech rzeki Radomki oraz jej dopływów. Tym razem podróżnicy odnaleźli 26 miejscowości ze śladami człowieka przedhistorycznego. Najobfitsze zabytki kultury przeddziejowej odnaleziono na gruntach wsi: Orońsk profesora Józefa Brandta („Szwedzka Góra” i pole tuż przy parku od strony półn.-wschodn.) Wola Bierwicka, Zawady Stare i Nowe, w pow. radomskim, oraz wsi Grzybów i Wilczkowice, w pow. kozienickim.

Poszukiwania p.p. Wawrzynieckiego i Jastrzębowskiego wzbogacą materiał do mapy archeologicznej, opracowywanej przez p. Demetrykiewicza, znakomitego archeologa, konserwatora zachodniej Galicji oraz kustosa muzeum arch. Akademii Umiejętności w Krakowie.

Odszukiwanie źródeł. Oznaki istnienia wewnątrz ziemi ukrytych źródeł mogą być wielorakie. Najpewniejsze wyniki przytym dają badania ziemne, niekiedy jednak i sposoby praktyczne zasługują na uwzględnienie, tam zwłaszcza, gdzie przeprowadzenie odpowiednich badań ziemnych byłoby zbyt kosztowne. Jeden z takich praktycznych sposobów, dający dość pewne wyniki, podajemy tu. Jest to powszechnie znana rzeczka, że z ziemi zwilżonej deszczem w porze letniej zwykła się na drugi dzień, w kilka godzin po wschodzie słońca, wzbijać migocąca w płomieniach słońca para, skutkiem

różnicy temperatury, jaka zachodzi między ułatniającą się wilgocią ziemi a ociepleniem promieniami słonecznymi. Jeśli zjawisko takie następuje w czasie, kiedy ziemia jest wszędzie jednostajnie przemokniętą deszczami, to parowanie wilgoci i charakterystyczne migotanie, wskutek załamywania promieni słonecznych, odbywa się na całej powierzchni. Czas ten nie jest dla naszych spostrzeżeń korzystnym. Wybierać należy tylko pogodne poranki, po trwających już przez kilka dni gorących; a więc wtedy, gdy ziemia wszędzie na powierzchni dostatecznie obeschła. W czasie takim, ustawwszy się bokiem do słońca, należy pilnie rozglądać się, czy w którym miejscu nie wydobywa się z ziemi migocąca para wodna. Znalazszy takie miejsce, możemy być pewni, że tam znajduje się woda podziemna i to w niewielkiej głębokości. Jeśli woda znajduje się głębiej, a zwłaszcza, gdy grunt jest przytym trudno przepuszczalnym, wtedy nie daje się spostrzegać pary wodnej, lecz tylko migocące się, falujące w promieniach słonecznych powietrze, skutkiem pewnego naprężenia spowodowanego różnicą chłodniejszej .od innych miejsc temperatury wilgoci, wydobywającej się z pewnego pasa ziemi, z przepływającymi tamże źródłami. Zjawisko takie jest zwłaszcza widoczne tuż nad ziemią; przedmioty dalsze za takim miejscem mają kontury jakby pogięte i falujące. W razie odszukania takiego miejsca nie pozostaje nic innego, jak dokładne oznaczenie jego. Dla tego celu poszukujący źródeł powinien mieć pomocnika, zaopatrzonego w tyczki, którymi poleca obstawić granicę miejsca spostrzeżonego zjawiska powietrznego, aby następnie oznaczyć punkt środkowy i w tym, jeśli to pod innymi względami jest dogodnym, polecić można kopanie, będąc pewnym znalezienia wody. Jest to postępowanie bardzo proste i łatwe, nie wymaga umiejętności geologicznych i znawstwa niektórych roślin, charakterystycznych dla miejsc wilgotnych, jakimi nieraz posługują się poszukiwacze źródeł.

„Tyg. roln.”

Gorące wodociągi. Naturalnie w Ameryce, bo tylko amerykańskie mogły zdobyć się na coś tak praktycznego i niezwykłego. Kilka większych miast Stanów Zjednoczonych, za przykładem Indjanopolis, zaprowadziło dostarczanie ciepłej wody mieszkańcom, przy pomocy zakładanych specjalnie instalacji elektrycznych. Nowość tę przyjęto z uznaniem, bo, ułatwiając konsumentowi otrzymanie ciepłej wody, oszczędza opału, fatygi i usuwa przyrządzanie tak wrogiego czystości ognia. W Indjanopolis zawiązały się trzy towarzystwa, dostarczające ciepłej wody, z których każde zaopatruje swoją część miasta specjalnymi rurociągami. Są to towarzystwa: „Merchants Company”, rozdzielające gorącą wodę na olbrzymim obszarze środkowej części miasta, oraz „Marini Company” i „Home Company”, zaopatrujące przedmieścia o powierzchni zabudowanej około 10 mil (ang.) kwadratowych.

ak.

Oświata w Japonji. Japoński system szkolny posiada wiele cech charakterystycznych wspólnych z Europą a nawet ze Stanami Zjednoczonymi. Naśladując Zachód, rząd japoński okazał tyleż zmysłu organizacyjnego i administracyjnego, co w stworzeniu armji i marynarki. Tak up. rada najwyższa wykształce-

nia publicznego utworzona jest na wzór najwyższej rady francuskiej, lecz nadto obejmuje zwierzchników innych urzędów administracyjnych i, tym sposobem, oświata w kraju idzie ręką w rękę z rolnictwem, handlem i ekonomją polityczną.

Ścisłego wypełniania praw szkolnych pilnują nie tylko inspektorzy szkolni i inspektorzy nadzwyczajni, wybierani z pomiędzy profesorów w Tokio, lecz nawet sam minister często w tym celu objeżdża państwo.

Nauka obowiązkowa nakazana jest dzieciom od sześciu do czternastu lat, albo też do ukończenia przepisane kursu nauk w ciągu czterech lat. Liczba ogólna szkół elementarnych w roku 1902 wynosiła 27,010; wykładało w nich 102,700 nauczycieli; uczniów było 4,980,604.

Zakładów, przygotowujących nauczycieli szkółek elementarnych, utrzymuje państwo 34; w roku 1902 liczyły one 1,032 profesorów a 17,982 uczniów. Istnieją także dwie tego rodzaju szkoły wyższe z 118 profesorami i 860 uczniami. Nadto wykształcenia wyższego dopełniają dwa uniwersytety cesarskie, szkoły techniczne i literackie. Uniwersytet w Tokio obejmuje wszystkie fakultety, z wyjątkiem teologicznego.

Japonja, która przed trzydziestu pięciu laty czerpała z Zachodu wszystkich członków swego ciała pedagogicznego, jest dzisiaj niezależną i pod tym względem; przed dwoma laty w szkołach japońskich znajdowało się tylko 66 profesorów-europejczyków. W roku 1902 Japonja wydała na oświatę około 29 milionów franków.

W. Z.



Hererowie. Damaraland, jedna z głównych posiadłości niemieckich w Afryce południowej, widownia obecnych zamieszek rewolucyjnych, zamieszka jest przez hererów. Liczba ich wynosi 65,000 na przestrzeni 74,000 kilometrów kwadratowych, czyli że stosunek zaludnienia dochodzi zaledwie 0.6 na kilometr kwadratowy. Średni wzrost hererów jest wyższy niż mieszkańców Europy północnej; skórę mają czarną; profil ich jednak nie przypomina profilu murzynów; nie mają spłaszczonego nosa, a niekiedy nawet wyrażnie orli.

Hererowie nie są ludem rolniczym; co najwyżej, niektórzy dają się nakłonić misjonarzom do uprawy warzyw. Jedynym ich zajęciem jest hodowla bydła; leniwi z natury, stają się czynni, skoro idzie o użyżenie pastwisk, o kopanie studni dla pojenia bydła, o odzyskanie zbłąkanych sztuk ze stada. Nie zabijają nigdy bydła na jedzenie, żywią się tylko mlekiem surowym; przywiązani są niezmiernie do stada; jeżeli sprzedają bydło europejczykom, to jedynie woly chude, mlecznych zaś krów nigdy.

We wszystkich zwyczajach i obyczajach hererów przebija główne ich zatrudnienie: płaszcze, fartuchy, pasy, które kobiety przystrajają piórami strusimi, wyrabiają ze skór wołowych. Pasy przytwierdzają do ciała rzemieniami, służącemi poniekąd za roczniki rodzinne; urodzenie każdego syna znaczne jest węzłem, rozwiązany w razie jego śmierci.

Kobiety w tańcach swoich naśladują... bydło rozbrykane na pastwiskach: rozpraszają się po łące, tarzają się po ziemi, udając ryk bydła; biegną do wody, jakby nawoływując cielecia itd.

Umarłych, przed pogrzebaniem, okręcają w skóry wołowe; na grobach składają ofiary z wołów; mięso

jedzą w rodzinie, czaszki, oczyszczone, zawieszają na drzewach wokoło domu.

Życie pasterskie rozwinęło wśród hererów w wysokim stopniu indywidualizm; wodzowie u nich mają władzę tylko nominalną a niemcy daremnie usiłują im narzucić jednego zwierzchnika; powaga tego zwierzchnika, nazywającego się Samuel Makarero, nie sięga poza obręb wsi jego, Okahandie.

Zresztą, hererowie nie obierali z własnej woli rodzaju życia; mieli go sobie narzucony bezwzględnie przez naturę.

Opady atmosferyczne niesłychanie są rzadkie w Damaralandzie: od maja do września deszcze nie padają zupełnie; w marcu, kwietniu, październiku i listopadzie nadzwyczaj mało; roślinność wskutek tego mają taką, jak w klimacie suchym, charakteryzującą się roślinami koleczastymi, aloesem, akacją, zwanymi przez holendrów z Przylądka *wacht-en-bijte* (przeznaczone do kłócia). Wśród gajów koleczastych ciągną się pastwiska; ziemi bez sztucznej irygacji uprawiać niepodobna, tak, że rzeczywiście, poza wyżywieniem bydła, niczego innego od niej wymagać nie można.

W. Z.



Kronika Esperantyczna.

„Progreso
estas vivo.”



„Restado
estas morto.”

„Grupy“, „Kluby“, „Towarzystwa“ Esperantyczne.

(Dokończenie.)

Malines (Belgja)—„Klubo Esperanta de la Granda Seminario”. *Prezes* Klubu: E. Van Giel. — „Klubo Esperanta de la Katolika Lernejo Normala”. *Prezes*: A. Schurivegen.

Malta (na morzu Śródziemnym) — Towarzystwo Esperantyczne, pod nazwą: „Zamenhof”. *Prezes* Towarzystwa: Napoleon Tagliaferro, rektor Uniwersytetu i naczelnik Departamentu Wychowania Publicznego. Ul. Teatralna (Valletta). *Wice-prezes*: dr. C. Samut, prof. Uniw. Ul. S-te Lucia (Valetta). *Sekretarz-zalozyciel* Towarzystwa: dr. Gustaw Busuttill (Misida).

Manresa, obok Barcelony (Hiszpanja)—*Sekretarz* Towarzystwa Eduardo Segarra.

Monachium. *Prezes-zalozyciel* Towarzystwa: Ludwik Emil Meier, literat i dziennikarz, 25 Rumfordstrasse, *Sekretarz*: Hans Wulkow, 3a Sägerstrasse.

Montdidier (Francja)—*Sekretarz* Towarzystwa: Ernest Carpentier, publicysta.

Narbonne (Francja)—*Prezydent honorowy* Towarzystwa: H. Razoul 10, Avenue du Capitole, 10. *Prezes urzadujacy*: M. Bourjade, à Fleury (Aude). *Sekretarz*: pastor protestancki p. Guiraud, 7 Rue Charras.

Nottingham (Anglja) — *Sekretarz* Towarzystwa: F. G. Rowe, 51 Portland Road.

Palermo. „*Sicilia Federacio Esperanta*“. Siedziba Towarzystwa w Uniwersytecie miejscowym. *Prezes*: dr. Vitangelo Nalli, 495 Corso Catalafimi, 495. *Sekretarz*: dr. Nicola Serio-Basile 9 Via Orologio.

***Péronne** (Francja) — *Prezes* Towarzystwa: A. De-bray, poborca podatkowy. *Sekretarz*: E. Leroy, prof. Kolegium miejscowego.

***Pilzno-Pilzen** (Czechy) — *Prezes* Towarzystwa: Xaver Kutilek, 37 Stépanowy Sady.

Praga Czeska. „*Esperantista Klubo en Praha*“. *Prezes*: Vojtech Krauss, 5 Zderez, 5. II. *Sekretarz*: Eduard Kühnl, 1719, 5, II Sozarska ul.

*Powstało tu nadto ostatniemi czasy Towarzystwo Esperantyczne Kobiecte po nazwą: „*Esperantista Virina Klubo Bohema de Naprstkova*“ (Prahá I, Betlémské Namesti, Naprstkovo Museum). Nazwisk pań urzędujących w Towarzystwie nie ogłoszono dotychczas.

***Provins** (Francja) — Towarzystwo Esperantyczne, założone 12 kwietnia 1904 r. *Prezes* Towarzystwa: dr. Schweitzer-Hugo, chirurg-dentysta, *Sekretarz*: H. Cognie, prof. Kolegium miejscowego.

***La Rochelle** (Francja) — *Prezes* Towarzystwa Samuel Meyer. *Sekretarz*: A. Besnard, Rue Amelot 9-ter.

Ruszczyk (Bułgarja) — Towarzystwo pod nazwą: „*Lajrero*“ = „*Ognisko*“. *Prezes* Towarzystwa: Chr. Fotef Rjakowski, w Gara Lewski. *Sekretarz*: At. Uzumow w Ruszczyku, Wojwodowa ul., 34.

***St. Andrews** (Anglja) — *Prezes* Towarzystwa: A. D. Haxton. *Sekretarz*: G. T. Haxton 133, South Street.

***St. Hyacinthe** (Kanada) — *Sekretarz* Towarzystwa: Dr. Th. Bouchard.

Saint-Léger-lès-Domart (Francja) — *Prezydent honorowy* Towarzystwa: dr. Billet, radca jeneralny. *Prezes urzędujący*: A. Govelet, mer miasta. *Sekretarz*: Dumont Gaillard.

Sofia. Klub Esperantyczny, pod nazwą: „*Auroro*“ = „*Zorza*“. *Prezydent honorowy i były rzeczywisty prezes* Klubu: N. D. Kowaczew, redaktor sofijskiego „*Swiata*“ i najznakomitszy z dziennikarzy bułgarskich. *Wice-prezes*: Petro Popow, dragoman antysemickiej Agencji Dyplomatycznej 45 ul. „*Graf Ignatjew*“, *Sekretarz*: P. Spasow, 26 ul. San-Stefano.

Stockholm. „*Arbetanas Esperanto Klubo*“ = „*Robotniczy Klub Esperantyczny*“, przy „*Folkerts Hus*“ („*Dom Ludowy*“). *Prezes* Klubu: A. Holmström, tragarz, 23 Thulegaton. *Sekretarz*: dr. S. E. Krikortz, 34 Kungsgaton.

Silistrja (Bułgaria) — Towarzystwo Esperantyczne, odbywające swe posiedzenia w kawiarni Hotelu: „*Do-*

rostol“. *Prezes* Towarzystwa: Er. Iwan Raczew. *Sekretarz*: Jonko Dawidow, kupiec.

Tunis (Afryka północna) — *Sekcja Esperantyczna* de l'„*Institut de Carthage*“, założona dzięki staraniom wielce zasłużonego a niezmordowanego esperantysty, kapitana artylerji, Augusta Capé oraz dyrektora Wychowania Publicznego p. V. Machuel i członka l'„*Institut de Carthage*“ p. Nicolas. *Prezes* Sekcji: p. Poulain, geograf. *Sekretarz*: p. Danguin, księgarz; 21, Rue Al. Djazira.

Vera-Cruz (Meksyk) — „*Sociedad Mexicana Propagandora de l'Esperanto*“. *Prezes* Towarzystwa: Anselmo Morin, jeneralny dyrektor Vera-Cruskiego Towarzystwa Przemysłowego, w Nogales Est. de Vera-Cruz, Mexique. *Sekretarz*: dr. Ambrosio Vargas, w Santa Rosa Necoxtla, Est. de Vera-Cruz, Mexique.

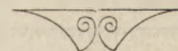
***Wandsworth** (pod Londynem) — *Sekretarz* Towarzystwa: Mr. Hayes, 48 Svanage Road

***Wiatka.** Kółko Esperantyczne pod nazwą: „*Ankro*“ („*Kotwica*“). *Sekretarz* Kółka: N. N. Pasynkow. Iwanowska Płoszczad', dom Malcewa.

***Wiedeń.** „*Wiena Esperanta Klubo*“. Odbywa posiedzenia w Hotelu Brusatti, I. 6, Schauflegasse, 6. *Prezes* Klubu: Teodor Helf, redaktor de „*Welt Correspondenz*“ 3, Hansalgasse, III. *Sekretarz*: Albert Ostermeyer, Freihaus I, hof 6 Stierge, IV.

*Międzynarodowe Towarzystwo tamtejsze: „*Korrespondenz-Association*“ zorganizowało nadto „*Sekcję Esperantyczną*“, o której bliższych szczegółów nie posiadamy jeszcze.

abb.



Odpowiedzi Redakcji.

„*Suwalczanin*“. Tak, *Warsz. Dniem*. potwierdza wiadomość, że na trakcie pocztowym pomiędzy Suwałkami a Wyłkowyszkami oraz od Marjampola do Aleksoty przewóz korespondencji pocztowej i podróźnych odbywać się będzie na samochodach. Toczą się już nawet rokowania w sprawie zawarcia kontraktu z dostawcą samochodów, przedsięwzięc, p. Juljanem Jan-kowskim. Szosy tameczne, jak sz. pan wie, lepsze, niż w innych miejscowościach kraju, ułatwią kursowanie samochodów.



Od Administracji tygodnika „NAOKOŁO ŚWIATA.”

Upraszamy szanownych P.p. Prenumeratorów miejskich o składanie przedpłaty za kwartał bieżący w Administracji pisma (Hoża 52, m. 4.), albo **na ręce roznosicieli, za kwitem sznurowym z pieczętką Administracji.** Prócz roznosicieli nikogo innego nie upoważniamy do pobierania prenumeraty, o ile ta nie wpływa za pośrednictwem Księgarń miejscowych.

Administracja.

HERMAN i GROSSMAN

Warszawa, MAZOWIECKA 16.
S T. P E T E R S B U R G — M O S K W A.

Fortepiany i Pianina

słynnych fabryk

C. Bechstein, Steinway & Sons, Rönisch. Tresselt.

ANGELUS ORCHESTRAL

pneumatycznie samogrający instrument, zastosowany do fortepianu lub bez takowego, daje następujące kombinacje:

1) solo fortepian, 2) solo organki, 3) Powyższe instrumenty razem.

Cenniki bezpłatnie. Sprzedaż na rozpłaty miesięczne.

Wynajem wyborowych instrumentów. Telef. 555.



DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry wataowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety itp. **ŻE NA 1-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego.** Marszałkowska 112, 1-e piętro, przy ulicy Chmielnej.

Treść № 33. Żyrardów, przez *Karola Hoffmana* (z rysunkami).—Indje, przez *Piotra Loti'ego*, tłumaczył *Józef Jankowski*.—Na Dalekim Wschodzie, przez *Józefa Gieysztorę* (z rysunkami).—Z podróży do Afryki, przez *Leopolda Janikowskiego*—Rozmaitości—Kronika esperantyczna, przez *abb.*—Odpowiedzi Redakcji.—Ogłoszenia.

Treść „Biblijoteki ilustrowanej podróży i powieści.” Rozbójnik Marko, przez *L. Bousсенarda*, tłumaczyła *M. Naimska* (str. 109-116).—Tajemnica burzy morskiej, przez *Sylwana Cobba* (str. 49-56).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata”: w Warszawie rocznie *rb. 4*, półrocznie *rb. 2*, kwartalnie *rb. 1*. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie *rb. 5*, półrocznie *rb. 2.50*, kwartalnie *rb. 1.25*. Za granicą rocznie *rb. 6*; wraz z „Biblijoteką ilustrowaną podróży i powieści”: w Warszawie rocznie *r. 6*, półrocznie *rb. 3*, kwartalnie *rb. 1 kop. 50*.—Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie *rb. 7 kop. 50*, półrocznie *rb. 3 kop. 75*, kwartalnie *rb. 1 kop. 88*. Za granicą *rb. 9*.—Za odnośnienie do domu *15 kop.* kwartalnie.—Zmiana adresu *kop. 20*—Cena numeru *kop. 10*.

Agientura w Łodzi:
Księgarnia *L. Fiszera*,
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.

Agientura w Częstochowie:
Księgarnia *J. Nowickiego i S-ki*,
Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.**

Za redaktora: **Antoni Orłowski.**